

Anna DRZEWICKA UJ

SPOWIEDŹ POETYCKA "BIEDNEGO VILLONA" in: *Literatura a chrześcijaństwo*, t. 4, Kraków 1984, s. 54-70.

Spróbujmy dzisiaj wieczoru posłuchać głosu poety, głosu, który zabrzmiał dawno - ponad pięć wieków temu - i który zamilkł szybko: o ile nasza niedoskonała chronologia nas nie myli, pierwsze zachowane wiersze Franciszka Villona można datować z końca r. 1456, ostatnie - z przełomu lat 1462-63. Po tej dacie tracimy go z oczu: nieznacznie tylko przekroczywszy trzydziestkę, umknąwszy niemal cudem spod szubienicy - karę śmierci zamieniono mu na dziesięcioletnie wygnanie z Paryża - poeta znika bez śladu i nie wiadomo, gdzie i kiedy przyszła jego ostatnia godzina. Tak, jak niewiele wiadomo o jego pochodzeniu, rodzinie, nawet o tym, jak brzmiało jego prawdziwe nazwisko. „Le pauvre Villon” - "biedny Villon", jak sam siebie nazywał, wyłania się z cienia i znika w cieniu. Pozostały po nim skąpe dane biograficzne, wyszperane w archiwach, głównie sądowych - i szczupły tomik zdumiewających wierszy.

Pozostała też legenda, która szybko zaczęła rosnąć, przybierając w ciągu stuleci różne kształty, przygasając i rozbłyskując na nowo. Dziś, w XX wieku, pisze się o nim powieści biograficzne, nakręca filmy, śpiewa piosenki. Fascynuje postać poety - wesołego kompana, bywalca karczem i podejrzanych lokali, więcej: poety - rzezimieszka, awanturnika i złodzieja, obznajomionego z lochem więziennym i z widmem haniebnego śmierci - a równocześnie autora strof lirycznych o niezwyklej głębi lub delikatności uczuć. Tradycyjna wizja średniowiecza jako epoki kontrastów znajduje w jego osobie pełne potwierdzenie. Nie trudno też ujrzeć w nim ponadczasowy symbol poety skrzywdzonego i skłóconego ze społeczeństwem, a nawet kontestatora ustalonego porządku, tego, który "śpiewa na przekór" (jak w tytule przetłumaczonej u nas książki J. Joukotkowej).

Pobudzona niezwykłością postaci wyobraźnia, nie tylko pisarzy ale i badaczy, łatwo wypełnia luki w naszej znajomości faktów, rozwiązuje zagadki. Ale życie i dzieło Villona pozostają pełne zagadek, które chyba nigdy nie dadzą się do końca rozszyfrować.

Co właściwie o nim wiadomo? Był dzieckiem Paryża i nazywał się może François de Montcorbier, może François des Loges. Nazwisko Villon zawdzięcza swemu opiekunowi, księdzu Guillaume de Villon, którego nazwie "więcej niż ojcem"; pisać też będzie o swojej matce jako o biednej, prostej kobiecie. Zapewne dzięki pomocy protektora ukończył studia na *Facultas Artium* paryskiej Sorbony, uzyskał stopnie bakałarza, licencjata i magistra. *François Villon escollier* - żak Villon, to miano, którym chętnie sam siebie obdarza; lubi też niekiedy popisywać się "klerkowską" erudycją. Ale nazwisko jego zaczyna wkrótce figurować niestety nie tylko w uniwersyteckich rejestrach. Nie znanymi nam dokładnie drogami Villon zaczyna się zbliżać do środowisk przestępczych. Czasy późnego średniowiecza, kryzysu społeczeństwa feudalnego, czasy po spustoszeniach wojny stuletniej sprzyjały demoralizacji, a margines społeczny niepokojąco się poszerzył, sprawiając wiele kłopotu strażnikom porządku i sprawiedliwości (świetną książkę poświęconą tym właśnie środowiskom "ńędzy i zbrodni", pod znamienym tytułem *Życie codzienne w Paryżu Franciszka Villona*, napisał swego czasu polski historyk średniowiecza europejskiego o międzynarodowej sławie, Bronisław Geremek). W każdym razie, w r. 1455, w trakcie bójki, może działając w obronie własnej, Villon rani śmiertelnie księdza Filipa Sermoise, zostaje wszakże przez ówczesną sprawiedliwość ułaskawiony. W r. 1456, być może w samą noc Bożego Narodzenia, nieznanymi sprawcy włamują się do jednego z kolegów uniwersyteckich, Collège de Navarre, i wynoszą stamtąd sporą sumę złotych talarów; po jakimś czasie zostają zidentyfikowani i Villon okazuje się jednym z nich. Nie ma go już wówczas w Paryżu: zapewne uznał za bezpieczniejsze zniknąć na jakiś czas. Przez kilka lat błąka się po różnych okolicach

Francji; znamy niewiele pewnych szczegółów z tych jego wędrówek. W jakimś momencie gościł u księcia-poety: Karola Orleańskiego na jego zamku w Blois lub w Orleanie; kiedy indziej, z nie wyjaśnionych przyczyn, znalazł się w Meung nad Loarą w srogim więzieniu biskupa Orleanu, z którego wyzwolił go przejeżdżający król Ludwik XI: w początkowych strofach *Testamentu* wylewa z siebie nienawiść do prześladowcy i wdzięczność dla wybawcy. Potem znów Paryż, znów różne perypetie z wymiarem sprawiedliwości - aż wreszcie moment najbardziej dramatyczny: skazanie Villona na szubienicę. Potraktowano go tak surowo zapewne jako recydywistę, bo stawiane mu wówczas zarzuty, dotyczące udziału w nocnej bójce, nie były zbyt poważne. Villon wniósł od wyroku apelację, która została uwzględniona: wtedy to właśnie odchodzi na wygnanie i niknie w mroku niewiadomego losu.

Takie są fakty. Słusznie jednak zauważono, że biografia odtworzona głównie na podstawie aktów sądowych musi być jednostronna; niewiele mówi ona o wewnętrznej prawdzie człowieka, który był złoczyńcą, ale który był i poetą. Na szczęście mamy jego dzieło - choć i ono, jak zobaczymy, prawdy tej do końca nie odsłania. Dzieło poetyckie Villona to głównie dwa dłuższe poematy: pierwszy z nich, *Zapis* czy też *Legat* (zwany również, choć wbrew życzeniu autora, *Małym Testamentem*), jest jakby szkicem drugiego, który nosi tym razem autentyczny tytuł *Testament* (dla odróżnienia zwie się go też *Wielkim*). Poza tym zachował się szereg luźnych wierszy, przeważnie ballad (francuska ballada średniowieczna, w odróżnieniu od romantycznej, to pewna skodyfikowana forma poetycka - na ogół trzy strofy plus pół-strofa zwana "przesłaniem"; każda z nich kończy się powtarzającym się wersem-refrenem). Inne ballady i drobne wiersze włączone zostały w sam tekst *Testamentu*.

Zarówno *Zapis* jak i *Testament* kontynuują wcześniejszą tradycję gatunkową i oparte są na zasadzie parodii oficjalnych aktów - oświadczeń woli. W r. 1456, wyjeżdżając z Paryża - z powodu, jak twierdzi, doznanego zawodu sercowego, który jednak dziwnie zbiega się w czasie ze "skokiem" na Kolegium

Nawarskie... - autor zapisuje różne swoje rzekome "dobra" przyjaciołom i nieprzyjaciołom - są to w większości dary ironiczne, satyryczne, kryjące w sobie złośliwe aluzje. Ten sam proceder powtarza się w *Testamencie*, w r. 1461-62, tylko że tym razem chodzi rzeczywiście o akt "ostatniej woli":

trzydziestoletni poeta, zniszczony przez życie, czuje się siaby i bliski śmierci, której widmo wyłania się z niezapomnianych strof wprawiających w ruch swoisty taniec szkieletów. Obok bowiem nuty parodystycznej i frywolnej pojawia się w obu utworach, w *Testamencie* na znacznie szerszą skalę niż w *Zapisie*, ton medytacji i refleksji lirycznej; fikcja testamentalna raz po raz znika z oczu, kapryśny, dygresyjny tok myśli pozwala poecie swobodnie zatrzymywać się nad sprawami życia i śmierci, losu ludzkiego, a przede wszystkim nad tym, co go najbardziej przejmuje i dręczy - nad losem własnym, nad sobą samym.

Ten liryzm osobisty Villona stanowi przypadek dość szczególny. Twórczość jego włączona jest w ciąg tradycji - gatunki, schematy formalne, środki wyrazu, tematy, motywy, wszystko to nie jest nowe, tkwi głęboko korzeniami w poetyce średniowiecznej, która nie jest wcale romantyczną poetyką oryginalności i osobistej ekspresji. Oryginalność Villona jest po prostu wynikiem jego niezwykłego talentu czy może nawet - geniuszu, który toruje sobie własną drogę poprzez formy zastane; jest także sprawą złożoności i zawiłości wewnętrznej jego ja. Nawet w najbardziej, zdawałoby się, sztucznych, akrobatycznych igraszkach słownych, spłacających haracz modzie literackiej, w balladach gromadzących w długi ciąg przysłowia, powiedzonka czy antytezy, potrafi nagle powiedzieć coś, co nie jest już zwykłą formułą, co zwraca spojrzenie w głąb, stara się uchwycić i nazwać stan psychiczny, sytuację wewnętrzną:

Śmieję się płacząc, czekam bez nadziei.

albo:

Znam wszystko, prócz samego siebie.

Czy to mówienie Villona o sobie samym można nazwać spowiedzią?

Sprawa wydaje się dość złożona. Trzeba przede wszystkim

pamiętać o szczególnym kontekście tych wyznań: pojawiają się one często na krótką chwilę wśród błaznowania, wulgarnych lub dwuznacznych żartów, złośliwości czy wybuchów nienawiści, w niesfornym, niezdiscyplinowanym strumieniu myśli i uczuć. Coraz to inne oblicza wielokształtnego ja odsłaniają się w tych przeskokach przed nami i w końcu już nie wiadomo, które jest prawdziwe: może wszystkie, może żadne? Pewne rzeczy o sobie Villon mówi, inne - nie bez racji - stara się skrzętnie ukryć. Budzi się więc pewna powściągliwość, cofamy się przed przyznaniem pełnego kredytu zaufania rozproszonym fragmentom brzmiającym tonem wyznania na serio. W dodatku, myślimy, przecież to tylko wyznanie literackie, uwikłane w całą otoczkę sztuki a więc sztuczności, wyznanie, którego podmiot sam jest kreowaną postacią i niekoniecznie utożsamia się z ja autorskim. A jednak jest coś w tonie tych fragmentów, co nie pozwala przejść obok nich obojętnie, co każe zawierzyć autentyczności głosu, dochodzącego do nas z głębi wieków. Uwierzyć, że jest to własny głos "biednego Villona".

Były próby potraktowania tych villonowskich wyznań rzeczywiście w perspektywie spowiedzi, to znaczy w perspektywie nawrócenia. Odpowiednie hipotetyczne konstrukcje dotyczące chronologii powstawania tekstów pozwalały widzieć w nim najpierw grzesznika, potem pokutnika. Hipotezy te nie wydają się jednak wystarczająco uzasadnione. Pozostaje samo dzieło takie, jakim je znamy, ze swoim zaskakującym, szokującym czasami, ale bardzo ludzkim przemieszaniem powagi i żartu, mądrości i szaleństwa, dobra i zła ("ani całkiem szalony, ani całkiem mądry" - tak określa poeta sam siebie na początku *Testamentu*). Nie wiemy, jakie słowo Villona jest jego słowem pierwszym, a jakie ostatnim. Ale w nurcie tych słów raz po raz wypływa na powierzchnię fala, której tu szukamy.

Wracam do pytania: czy te wyznania Villona można nazwać spowiedzią? Może raczej skłonni bylibyśmy widzieć w nich głośny rachunek sumienia, czy ściślej, obrachunek z własną tragiczną przeszłością. Rachunek sumienia bowiem zakłada szukanie winy w sobie, u Villona zaś różnie z tym bywa. Ma poczucie upadku i wstydu, wie, że zmarnował życie: początkowe wersy *Testamentu* od razu uderzają w ten ton:

W trzydziestym życia mego lecie,

Hańbą do syta napoiony...

W tłumaczeniu dosłownym: "gdy wypilem wszystkie moje hańby". (Tu mała dygresja: w miarę możliwości będę się posługiwać przekładem Tadeusza Boya-Żeleńskiego, który jest majstersztykiem archaizacji, ale odbiega niekiedy dość swobodnie od oryginału; stąd konieczność sprostowań tam, gdzie rzutuje to na interesujący nas problem). Skądże jednak płyną te hańby, skąd się wzięły? Spojrzenie Villona łatwo ześlizguje się z własnego sumienia na okoliczności zewnętrzne: szukanie wytłumaczenia jest szukaniem usprawiedliwienia. Jeśli tak często nazywa siebie "biednym", to słowo to znaczy nie tylko "nieszczęśliwy" - Villon mocno akcentuje swoje prozaiczne, materialne ubóstwo, głód, brak środków do życia:

Biedakiem iestem iuż od młodu -
Ot, niebożęta leda iacy! -
Ociec mój był z biednego rodu,
Toż praszczur, co był zwan Horacy.
Bieda nas ściga aż do trumny.
Gdzie zewłok przodków mych złożony,
Nie sterczy tam grobowiec dumny,
Nie uźrysz bereł ni korony.

To ona, bieda, powiada Villon, jest złym doradcą, to ona ponosi odpowiedzialność za ludzkie błędzenia:

Potrzeba ludzi pcha do zbrodni,
A głód wywabia wilki z boru.

Jakby w ukrytej polemice z tymi, którzy go oskarżają, opowiada barwną antyczną anegdotkę o "zbójcy morskim" Diomedesie, który, przywieziony w kajdanach przed sąd Aleksandra Wielkiego, bronił się tym właśnie argumentem: gdybym był bogaty, byłbym cesarzem, jak ty; ale

... wiedz, iż nędza nazbyt sroga
(Tak powiadają pospolicie)
To nie iest ku zacości droga.

Historia ta ma koniec budujący: wydobyty z biedy dzięki hojności cesarza, zbójca żył odtąd przykładnie. I gdyby Bóg dał mi spotkać - ciągnie Villon - innego litościwego Aleksandra, a

ja pomimo tego popadłbym w zło, sam skazałbym się na spalenie! Ta pozorna surowość wobec siebie służy wszakże przerzuceniu odpowiedzialności na innych, na owych Aleksandrów, których zabrakło, ale także na coś więcej. W przemowie zbójcy Diomedesa pojawia się znamienne słowo: fortuna, "przeciwko której - mówi - zaiste nic nie mogę" ("Przeciw losowi człek nie zradzi", tłumaczy Boy). Owa postać, tak częsta w średniowiecznej alegorii, nie obca jest poezji Villona: to ona, w osobnej balladzie, zwraca się z długim przemówieniem do poety, nazywając go po imieniu: radzę ci, Villonie, przyjmij wszystko chętnie i nie wierzgaj przeciwko mnie - nie ciebie jednego, nie takich jak ty zmoęła już moja potęga! Jeśli człowiek jest tak bezsilny wobec swego losu, to czyż nie otwiera to perspektywy smutnego, ale i ulgę przynoszącego fatalizmu: tak być musiało, nie ma nad czym medytować. A jednak...

A jednak Villon medytuje. "W trzydziestym życia swego lecie", w chwili, gdy przystępuje do pisania *Testamentu*, ma za sobą twardą szkołę. Nauczyciel, któremu na imię *Travail* - czyli, w dawnym znaczeniu, Doświadczenie, Cierpienie - wyostrzył, uczynił przenikliwymi jego chwiejne i tępe myśli, bardziej niż cała książkowa mądrość. W przybliżonym, ale chwytającym istotę rzeczy przekładzie Boya brzmi to tak:

Prawdać, iż po bolesnych iękach,
Ucisku srogim a mitrędze,
Po ciężkich smutkach, wielkich mękach,
Mozołach długich y włóczędze
Cierpienie, bakalarstwo wraże,
Rozum otwarło mi, do biesa,
Barziesy niż wszystkie komentarze
Nad Arystotem Awerresa.

To pobudzone ciężkimi przeżyciami myślenie, to wyostrzone spojrzenie zwraca Villon na samego siebie i na swą sytuację; na to, kim był i kim jest. Wchodzi w siebie, a zarazem wchodzi w wiedzę o człowieku i nieuniknionych uwarunkowaniach jego losu. Stąd przejmujące poczucie przemijania, tak pięknie wyrażone w znanej *Balladzie o paniach minionego czasu*, gdzie na pytanie o wszystkie niegdyś piękne i sławne niewiasty powraca refrenem tylko jedna odpowiedź:

Mais où sont les neiges d'antan?

Ach, gdzie są niegdyśiejsze śniegi!

- lub w innym miejscu, gdzie, parafrazując obraz z *Księgi Hioba*, przyrównuje swoje ubiegłe szybko dni do nitki strawionych ogniem słomianej żagwi, którą tkacz oczyszcza świeżo utkaną sztukę płótna. Stąd też wspaniałe strofy głoszące potęgę śmierci, jej powszechność, równość wszystkich ludzi w obliczu jednakowego wyroku. Na tle tych prawd uniwersalnych wszakże raz po raz wysuwa na plan pierwszy ich konkretyzacja w zadumie nad sobą. Można mieć lat trzydzieści, a czuć się już zniszczonym, chorym - aż nazbyt wyraziście, zwłaszcza w jędrnej wersji Boya, mówi Villon o "charkaniu" i o "plwocinach niby kurze jaje" - i starym, przynajmniej z pozoru, z "głosu i tonu", choć w istocie jest się "młodym głuptasem". Jakże gorzko daje znać o sobie poczucie odrzucenia: już nie miłe są ludziom, jak dawniej bywało, towarzystwo i żarty starzejącego się wesołka.

Zawždy iest stara małpa szpetna

Y takōż iey figlasy wszystkie. ^

Gdy milczy w onym smutnym czasie,

Powiedzą: "Koniec już błaznowi";

Gdy gada, milczec każą zasię,

Iż nie ma smaku w tem, co mówi...

Więcej: starość, to perspektywa nędzy i rozpaczy, żebranego chleba i pokusy samobójstwa. Villon widzi tę otwierającą się przed nim otchłań, ma świadomość zakrętu życiowego, na którym się znalazł. Wielkie ludzkie zdumienie: gdzie się podziała młodość? "Ukryła przede mną swe odejście", mówi tekst oryginału zmodyfikowany nieco przez Boya:

Żałuję czasu mey młodości -

- Barziewy niż inny iam weń szalał! -

Aż do mych lat podeszłych mdłości

Iam pożegnanie z nią oddalał;

Odeszła; ba, ni to piechota,

Ni konno; pomkła iako zaiąc;

Tak nagle uleciała oto,

Nic w darze mi nie ostawiając.

Odeszła, a ja tuostałem,
Ubogi w rozum y nauki;
Smutny, zmurszały duchem, ciałem...

Żałuję, mówi Villon. Ale czego żałuję? Oczywiście przede wszystkim tego odejścia młodości i wszelkich jej dóbr, które pozostawia go smutnym i ogołoconym. Ale także, równocześnie, tych szaleństw, o których wspomina - lub, by użyć zwrotu często zestawianego z nim innego poety, Verlaine'a - tego, "co zrobił z swojej młodości". Świadczy o tym inna strofa, jedna z najbardziej znanych villonowskich:

Wiem to, iż gdybych był studiował
W płochy młodości lata prędkie
Y w obyczaju zacnym chował,
Dom miałbych y posłanie miętkie!
Ale cóż, gnałem precz od szkoły,
Na lichey pędząc czas zabawie...

(wg oryginału: "jak to czyni niedobre dziecko")

Kiedy to piszę dziś, na poły
Omali, że serce wnet nie skrwawię...

Te słowa brzmią akcentem szczerości, trafiają z serca do serca. Czyżbyśmy tu już przekroczyli etap wchodzenia w siebie i obrachunków z sobą - w kierunku żalu? Uważniejsze spojrzenie każe jednak uczciwie stwierdzić, że jeśli Villon żałuje za grzechy młodości, żal ten, choć bardzo ludzki, daleki jest od głębszej, a zwłaszcza religijnej motywacji. "Dom i posłanie miętkie": oto czego mu brakuje i co - wie o tym dobrze - sam zaprzepścił: stabilizacja, normalność, minimum komfortu życiowego, ideał nieosiągalny dla wykołejonego włóczęgi, którym się stał z własnej winy.

A więc tylko tyle? Chyba nie. Nie łatwo jest, powtórzmy, dotrzeć do prawdy Villona, który "śmieje się płacząc" i pewnie śmiechem pokrywa płacz, który jest zmienny, nierówny, i woli mówić o krzywdach doznanych od ludzi czy od losu niż o swej własnej winie. A przecież, choć rzadko, udaje nam się zapuścić spojrzenie głębiej - tam, gdzie sam może niechętnie sięga: w sferę sumienia.

Wśród ballad nie wchodzących w skład Testamentu jest jedna, której najwłaściwszy, jak się zdaje, tytuł brzmi: *Rozprawa między Villonem a jego sercem*. Na pozór, znowu, tekst tkwiący głęboko w średniowiecznej tradycji poematów - w tym wypadku ballad - dialogowanych i poetyckich sporów, wykorzystujący również tradycyjną alegorię serca jako odrębnej w człowieku istoty. Ale w tych tradycyjnych formach wyraża się autentyczny, indywidualny, osobowy dramat. Dialog Villona z sercem nie jest bowiem liryczny: jest dramatyczny. Głos sumienia - bo tak trzeba owo serce nazwać - rusza do ataku; ta druga, oporna strona osobowości obwarowuje się i broni zaciekle.

Kto się odzywa? - Ia. - Któż? - Serce twoie,
Co ledwie trzyma się na nitce kruchey.
Tuż nie ma siły, tchu: dychnąć się boię,
Kiedy cię widzę, jak spuściwszy słuchy,
Wszyłeś się w kącik na kształt biedney psiny.
-Cóż mię tam pędzi?

(wg oryginału: "Dlaczego tak jest?")

-Twe szalone czyny.

- Y co ci o nie? - Trawią mię zgrzyzota.

-Dayże mi pokój! - Nie. - Uźrżysz i inne.

(wg oryginału: "Pomyślę o tym")

-Kiedy? - Gdy miną mi lata dziecinne.

-Nic iuż nie mówię. - Y nie stoię o to.

Ta ostatnia wymiana replik: "Nic iuż nie mówię - Y nie stoię o to", czy też, ściślej, "i obejdę się bez tego" (choć i inne znaczenie jest tu możliwe), powraca jako refren po każdej z czterech strof ballady i po przesłaniu; wydaje się nieść w sobie stwierdzenie nie rozwiązane napięcia, różnicy postaw nie do pogodzenia. A jednak serce, które obiecuje zamilknąć, nie dotrzymuje słowa - podejmuje wciąż na nowo dyskusję, przynaglone troską i bólem. Co zamyślasz? Masz trzydzieści lat! Czy to jest dzieciństwo? Szaleństwo cię chwyta! Na te i inne interpelacje Villon odpowiada byle co, wykręca się, dowcipkuje; po tragicznym okrzyku: "Jesteś zgubiony!" oświadcza: stawię opór, nie dam się. Ale - łatwo to powiedzieć. Wie o tym dobrze serce, dlatego nie daje za wygraną:

-Mnie żal, a tobie boleść i cierpienie.
Gdybyś był głupkiem, gdyby pałą biedna,
Nalazłbyś dla się ieszczce wymówienie:
Piękne czy szpetne, nie dbasz; to ci iedno.
Abo masz głowę twardszą niż kamienie
Lub od czci wolisz karmić się sromotą!
Coż na te racye rzeczesz mi, lichoto?
- Wszystko się skończy, gdy mnie ziemia schowa.
-Co za pociecha! ha! mądra wymowa!
Nic iuż nie mówię. - Y nie stoię o to.

Istotnie, niewiele potrafił oskarżony odpowiedzieć na zarzuty (w tekście oryginału: "wyjdę z tego, gdy umrę"). Może nie jest już tak pewny siebie, może ta perspektywa śmierci jako jedynego rozwiązania problemu świadczy, że zaczyna sobie uświadamiać powagę sytuacji? W każdym razie w następnej strofie nie opęda się już tylko przed pytaniami serca, daje się wciągnąć w dyskusję na serio - dyskusję nad podstawowym problemem człowieka: wolność a przeznaczenie.

-Skąd to nieszczęście? - Taka, ot, ma dola.
Sam Saturn taką losów moich postać
Snadź iuż nakazał. - To szaleństwo. Hola!
Panem mu iesteś, a chcesz sługą zostać?
Patrz, w Salomońskim co pisaniu stoi:
"Człowiek roztropny (rzekł) ma w mocy swoiey
Planety wszystkie y włada im cnotą".

Nie można jaśniej wyłożyć zagadnienia. Wykrętom, zrzucaniu winy na Fortunę, na gwiazdy uosabiające przeznaczenie, któremu nie sposób się oprzeć, serce daje zdecydowaną odprawę: człowiek jest panem, nie sługą swego losu. Ale to prawda niewygodna i Villon woli ją odrzucić:

-Nie wierzę; będę, czem los mi przeznaczy.
(wg oryginału: "będę takim, jakim one [planety]
mnie uczyniły").

Jeszcze jedno daremne starcie. Ale raz jeszcze, w końcowym przesłaniu, niezmordowane serce radzi, prosi, tłumaczy. I tym razem wydaje się, że opór mięknie. Villon już nie szydzi ani nie neguje; coś jakby nieśmiałe postanowienie poprawy

zaczyna w nim kiełkować:

- Chcesz żyć? - Od Boga czekam wspomnienia!
- Trzeba ci... - Czego? - Wyrzutów sumienia;
- Czytać wciąż. - Cóż? - Xięgi wiekuiste;
- Ostaw szaleńców!

Dalej tłumaczę z oryginału, gdyż przekład Boya jest w tym miejscu zbyt swobodny: "- Postaram się o to. - Więc zapamiętaj! - Mam to dobrze w pamięci. - Nic czekaj zbyt długo, by nie zależało to od zachcianki". Następujący potem zwykły refren ("Nic już nie mówię - Y nie stoję o to") nie niweczy mimo wszystko wrażenia, że coś się w trakcie tej długiej dysputy zmieniło, że uparty głos serca został w końcu, chociaż przez chwilę, usłyszany.

Takie publiczne ujawnienie własnej dwoistości, walki dwóch przeciwstawnych sił, której polem jest wnętrze człowieka, stanowi niewątpliwie pewien rodzaj spowiedzi, nawet jeśli daleko posunięta "literackość" jej formy tłumi nieco bezpośredniość wyznania. Może nigdzie indziej nie wykazał Villon tak wyraziście, w jaki sposób poczucie własnej winy i potrzeba jej uczciwego uznania dobija się w nim do głosu poprzez pokłady usprawiedliwiających i uspokajających sofizmatów. Można jednak zapytać, na jakim poziomie świadomości moralnej i religijnej sytuuje się ta spowiedź. Serce biada nad nieszczęściem, w które wpędziło człowieka jego szaleństwo, mówi o honorze, o rozróżnianiu piękna i szpetoty, o możliwości wzięcia we własne ręce swego losu, o potrzebie wyrzutów sumienia itd. Woła: jesteś zgubiony. Pyta: czy chcesz żyć? Można za tą terminologią domyślić się tła religijnego, przebija ono jednak bardzo dyskretnie. Raz tylko pada słowo *Bóg* w mało obowiązuującym pobożnym westchnieniu: "Czy chcesz żyć? - Daj mi Boże tę możliwość!" Serce powołuje się, nawiasem mówiąc niezbyt ściśle, na mądrość salomonową, ale nic nie mówi o powrocie do domu Ojca. Jak to jest z wiarą Villona, jak wyglądają jego sprawy z Bogiem - czy pozwala nam się czegoś o tym dowiedzieć?

To, że w dziełach jego pojawiają się wzmianki o Bogu i świętych, cytaty z Pisma Świętego czy nawet aluzje do dysput

teologicznych, to nic dziwnego: był przecież "klerkiem" kształconym na ławach Sorbony i żył w epoce, w której wszystkie dziedziny życia, choć w praktycznych realizacjach bardzo nieraz od chrześcijaństwa dalekie, jakoś obecnością tego chrześcijaństwa były przeniknięte. Gdy uroczystymi formułami, w Imię Trójcy Świętej, rozpoczyna serie swych w większości zgoła nie świętych i niepoważnych zapisów, albo gdy, by wypełnić powinność modlitwy za nieprzyjaciół, przywołuje chytrze werset Psalmu pełen złorzeczenia, można zapytać, czy nie jesteśmy tu na pograniczu drwiny i bluźnierstwa. Trudno jednak rozstrzygać takie problemy wobec bardzo szczególnej mentalności ludzi średniowiecza, których mocna wiara i zadomowienie w sprawach świętych pozwoliły im niejako traktować te sprawy z pewną swobodą i familiarnością. Tak czy inaczej, w tej dziedzinie jak i w innych, Villon jest zmienny i zaskakujący: to żartuje i stroi grymasy, to nagle przemawia tonem, którego szczerości, mimo wszystko, nie ma powodu podawać w wątpliwość. Tak się dzieje np. gdy pod koniec *Zapisu*, opowiada, jak to przerwał w swej izdebce pisanie poematu, słysząc dzwon z pobliskiej kaplicy Sorbony, "który co dzień o dziewiątej godzinie wydzwania pozdrowienie zwiastowane przez Anioła": zatrzymał się więc, "by pomodlić się, jak serce każe". Na mgnienie oka, między dwoma wybuchami śmiechu, ten obraz samotnego poety skupionego w wieczornej modlitwie nie wydaje się czczym ornamentem.

Podobnie w *Testamencie*, wśród prób usprawiedliwienia się i obrony przed potępieniem ze strony ludzi, może nawet dla wzmocnienia tej obronnej argumentacji, pojawiają się strofy, które najszerszej chyba otwierają drogę w kierunku spowiedzi w wymiarze religijnym. Po owym cytowanym już wyżej wyznaniu, iż cierpienie i doświadczenia nauczyły go więcej niż księgi, Villon kontynuuje:

Iak często^x, śród nasrogszey zimy,
Mnie, odartemu gorzey dziada,
Bóg, co emauskie wsparł pielgrzyny
(Iak Ewangelia opowiada)
Ukazał drogi kres pocieszny
N a d z i e i ą krzepiac moią żałość;
Chociaby człek by iak był grzeszny,

Bóg karci^{xx} ieno zatwardziałość.

(^x wg oryginału, raczej: "A jednak".

^{xx} wg oryginału: "nienawidzi").

Następną strofę tłumaczę z oryginału, ze względu na jej
ważność i na odmienność wersji Boya:

"Jestem grzesznikiem, wiem to dobrze,
A przecież Bóg nie chce mojej śmierci,
Ale bym się nawrócił i żył uczciwie,
Ja i każdy inny, którego grzech łąsa.
Choćbym był w grzechu umarły,
Bóg żyje, a Jego miłosierdzie,
Jeśli sumienie wyrzuca mi zło,
Przez Jego łaskę udziela mi przebaczenia".

Głęboki ton tych wersów jest zapewne, po części, sprawa
reminiscencji biblijnych (z *Księgi Ezechiela*), ale wolno chyba widzieć
w nich coś więcej niż literacką adaptację. Proste
wyznanie "jestem grzesznikiem" przesłania sobą na moment
wszelkie próby wykrętów, stawia człowieka w prawdzie przed
Bogiem. A po obu stronach tego wyznania sytuują się dwa istotne słowa:
"nadzieja" i "miłosierdzie". Prawda, że Villon -
rzecz znamienita - mówi w trybie warunkowym: nie deklaruje
aktualnego nawrócenia, nie obiecuje poprawy. Może to, w jakimś sensie,
i uczciwie z jego strony - czuje się na to za
słaby. Ale wie, że jest ta możliwość, ratunek z otchłani. Świadomość
popelnionego zła i pamięć o miłosierdziu Boga:
oto pierwszy, choć jeszcze nie decydujący krok ku nawróceniu.

Człowiek, który w swej izdebce szeptał przy dźwięku wieczornych
dzwonów *Pozdrowienie Anielskie*, zna jeszcze jedną
drogę do Bożego Miłosierdzia. Może niewiele mówi o niej wprost.
Ale gdy w *Testamencie* zaczyna zapisywać różnym ludziom dary,
jednym z pierwszych, potraktowanym - rzecz rzadka - poważnie,
jest dar ballady-modlitwy ofiarowany, jak mówi, "mojej biednej matce",
"która przeze mnie zaznała gorzkiej boleści, Bóg
to wie, i niejednego smutku". Jest to modlitwa do Matki Bożej. I
niespodziewanie, nim zacznie się tekst tej modlitwy
włożonej w usta starej, biednej kobiety, sam poeta woła głosem
własnym, z całą pewnością autentycznym (przekład z oryginału):

"Innego zamku nie mam, ni twierdzy,
Dokąd schroniłbym się z ciałem i duszą
Gdy pędzi na mnie zła niedola,
Ani moja matka, biedna kobieta".

To Ona, "Królowa niebios, Cysarzowa ziemi, Pani monarsza czeluści piekielnych", by przyjąć tym razem wersję Boya, jest tą ucieczką, ku której zwracają się oczy nie tylko matki, modlącej się słowami ballady, ale i syna, który tę balladę dla matki pisze. Czy to nie on sam, uznając, że "nigdy nic nie był wart", mówi przez jej usta:

Dobroć Twa, Pani nadziemskiej pociechy,
Więtsza o wiele niżli moje grzechy;

czy nie on prosi Maryję o wstawiennictwo u Syna, które wyjednałoby mu odpuszczenie win, albo utwierdza się w myśli, iż do Niej "grzesznicy powinni wszyscy się uciekać, pełni wiary, bez obłudy i ociągania się"; a zwłaszcza czy nie on powtarza po każdej strofie refren - credo:

En ceste foy je veuil vivre et mourir.

W tey wierze pragnę żyć iak y umierać.

Potrzeba ucieczki, potrzeba miłosierdzia. Któż miał ją odczuwać mocniej od człowieka, który wiedział, jak wiele jest w nim zła czekającego na przebaczenie - a równocześnie, jak kruche i niepewne jest jego jutro; człowieka obcującego blisko ze śmiercią. Nie wiemy, kiedy i w jakich okolicznościach powstał najsłynniejszy wiersz Villona, *Ballada wisielców*. Tradycja wiąże ją z momentem skazania na śmierć szubieniczną, co wyraża się w długim tytule przyjętym w wersji Boya: "Nadgrobek w formie ballady, który Wilon sporządził dla siebie y swoich kompanów, nadziewając się bydź z nimi powieszony". Jakkolwiek było, wyrosła ona z pewnością z medytacji w obliczu straszliwego widoku ustawionej w Montfaucon pod Paryżem szubienicy, na której dogorywali skazańcy. Byli zapewne wśród przechodniów tacy, którzy patrzyli na nich z odrazą i wzgardą, ale Villon zanadto czuł się potencjalnie jednym z nich, by nie przemówić ich głosem. *Ballada wisielców* w tym właśnie jest przejmująca, że rozbrzmiewa głosem z drugiego brzegu, słowami, które umarli kierują do żywych: "Bracia ludzie,

którzy po nas żyjecie..." Ten czas terazniejszy wersji oryginalnej sprawia, że wołanie sprzed wieków dociera do ludzi wszystkich czasów i pokoleń, do nas także - jakby wprost do nas zwrócone. Cóż mają nam do powiedzenia ci odrzuceni, potępieni przez sprawiedliwość ludzką, którzy nazywają nas braćmi - z czego nawet w drugiej strofie nieśmiało się tłumaczą, jakby w przewidywaniu protestów? Proszą nas, byśmy nie zatwardzali serc przeciw nim, zaniechali szyderstwa i śmiechu, byśmy też nie wstępowali w ich ślady - lecz byśmy poczuli się z nimi solidarni we wspólnej wszystkim ludziom potrzebie Bożego miłosierdzia: "Bo jeśli będziecie mieć litość nad nami biednymi, mówią, Bóg rychlej za to będzie miał nad wami zmiłowanie". Takie jest przesłanie *Ballady*: wszyscy jesteśmy grzesznikami. I jeśli wisielcy, prosząc nas o modlitwę, stawiają nam przed oczy przede wszystkim dramat ich własnego zbawienia ("Aby nie wyszło dla nas źródło Jego łaski, chroniące nas przed gromem piekielnym"), to refren wszystkich trzech strof i przesłania zdaje się rozszerzać zasięg modlitewnej troski: "Lecz proście Boga, aby wszystkim nam zechciał przebaczyć".

Wszystkim nam? Czy tylko nam - "zabitym ręką sprawiedliwości", nam, których kości obracają się w popiół i proch, nam nędznym szczątkom ludzkim, ukazanym w mrożącej krew w żyłach makabrycznej wizji? Czy też "nam wszystkim" - to znaczy i nam i wam, którzy tych słów słuchacie i którzy, tak jak my, potrzebujecie przebaczenia od Boga? Ten głęboki wymiar braterstwa ludzi grzesznych i wspólnej rodzajowi ludzkiemu ufności sprawia, że tym razem spowiedź "biednego Villona" przechodzi nieznacznie w chóralną spowiedź powszechną niezliczonych ludzkich generacji.

Przekład Boya-Żeleńskiego może nie zawsze - co jest rzeczą w przekładzie poetyckim zupełnie zrozumiałą - wydobywa te zwroty i te odcienie, na które starałem się tu zwrócić uwagę. Trudno jednak zakończyć inaczej niż odczytaniem tego wiersza w całości. Niech wołanie "biednego Villona" zabrzmie pełnym głosem i niech w nas pozostanie.

Bracia, z was, coście ostali na świecie,
Niech nienawiści nikt ku nam nie czuie;
Gdy miętkie serce mieć dla nas będziecie,
Y was Bóg radniey kiedyś się zlituie;
Widzicie nas tu, wiszące straszliwie;
Ciało, o które dbaliśmy zbyt tkliwie,
Zgniłe, nadżarte, wzrok straszy i hydzi:
Kość z wolna w popiół y proch się przemienia;
Niech nikt z naszego nieszczęścia nie szydzi,
Lecz proście dla nas wszystkich odpuszczenia!

Jeśli błagamy was, toć się nie godzi
Odpłacać wzgarda, mimo iż skazano
Nas prawem. Wiedzcie, po ludziach to chodzi,
Iże nie wszystkim w głowie statek dano;
Wspomożcież tedy biednych modły swemi
U Syna Maryey, Pana wszelkiej ziemi,
Iżby nie chybił łaski y pomocy,
Od czartoskiego broniąc nas płomienia.
Zmarłe iesteśmy - tu kres ludzkiej mocy;
Lecz proście dla nas wszystkich odpuszczenia!

Deszcze nas biednych do szczętu wyprały.
Do cna szerniło, wysuszyło słońce;
Sępy i kruki oczęta zdziobały,
Włoski w brwiach, w brodzie wydarły chwiejące,
Nigdy nam usieść ni spocząć nie wolno;
Tu, tam, na wietrze kołyszem się wolno;
Wciąż nami trąca wedle swego dechu,
Ptastwo nas skubie raz w raz bez wytchnienia;
Nie day Bóg przystać do naszego cechu,
Lecz proście dla nas wszystkich odpuszczenia!

Ty, Xiążę Iezu, nad wszem państwem możny,
Chroń dusze nasze od Piekieł roszczenia:
Niiak mieć z niemi nie chcemy zblżenia;
Ludzie, nie czas tu na pośmiech bezbożny,
Lecz proście dla nas wszystkich odpuszczenia!